



pismo miesięczne z obrazkami

— wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. —

Redaktorka i wydawczyni:

**Marja Wysłouchowa.**

**Prenumerata wynosi:**

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

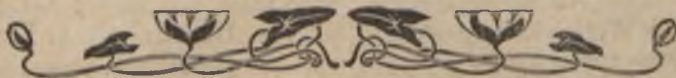
❖ **Piosenka wieśniacza.** ❖

Pójdę ja, pójdę wiązać me snopy,  
 Będę układał w sterty, w półkopy, —  
 J będę kosił trawkę zieloną,  
 J będę śpiewał pieśń ulubioną.  
 Konie na trawkę puszczyć w dąbrowie,  
 W srebrzystej Wiśle rybek ułowię;  
 Pod wieczór pójdę w gąszcze olszyny,  
 Tam będę zbierał wonne maliny.  
 J tam zostanę, aż zorza błysnie,  
 Promieniem jasnym słońeczko tryśnie!



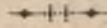
Tam się nawinie moja dziewczyna,  
 Co to ma liczko, by jarzębina,  
 A oczkiem modrem, jak na mnie rzuci,  
 To się świat dla mnie cały ocuci!  
 Żeby to jeszcze dożyć tej chwili,  
 Żebyśmy jeszcze Moskalów bili,  
 Wszystko bym rzucił, a wzięłbym kosę,  
 Co to do košby ze sobą noszę.

Wojciech Zawada,  
 włościanin z Dąbrowicy.





## Kłopoty młodego lekarza.



(Dokończenie)



dy sanki wjechały wreszcie na podwórze, Wojtek wyciągnął rękę, mówiąc:

— Hań na ganku... stoi.

Dr. Horliwy spojrzął we wskazanym kierunku i zobaczył wysokiego, chudego człowieka, niecierpliwie wywijającego rękami. Kwadratowego niemal kształtu czaszka, okryta siwymi, krótko ostrzyżonymi włosami; głęboko zapadłe, gorączkowo świecące oczy; drgające usta i brwi składały całość, odpowiadającą do pewnego stopnia pojęciu, które młody doktor wytworzył był sobie o pierwszym swym chorym. Beszyński pan zdaleka już witał Wojtką gradem najwyborniejszych wymyślań, a gdy podróżni stanęli przed gankiem, lewa jego ręka wyciągnęła się wnet w kierunku ognistych włosów woźnicy, podczas gdy prawą ścisnął tak silnie dłoń doktora, że ten o mało nie krzyknął z bólu. Jednocześnie z ust jego wylał się podwójny potok wymyślań i powitań: dziękował doktorowi, że ów raczył sam się do niego facytgować, ale jeszcze głośniej wołał, wskazując na błoto, okrywające sanki, że oszaleje z pewnością lada chwila, jeżeli Bóg nie wybawi go od takiego sługi.

Horliwy, słuchając tych słów bez związku, patrząc na kurczowe drgania wychudłej twarzy Trocińskiego, nabrał niemal pewności, że pacjent jego należy do najbardziej typowych szaleńców. To też idąc za nim w głąb domu, szepnął furmanowi, by pamiętał o danej obietnicy, — na co Wojtek kiwnął głową, wykrzywiając się komicznie.

Pokój, do którego wszedł Horliwy, pozostawał w zgodzie z dziwacznym usposo-

bieniem gospodarza domu. Na nagich ścianach wisały — niby oazy na pustyni — kalendarz, wykazy stempli wekslowych i para staroświeckich pistoletów. Na stole, na krzesłach i na olbrzymim łóżku, z rozsuniętymi frankami, leżały paczki pożółkłych papierów, nadgryzionych przez myszy. Na podłodze rozpościerała się ogromna mapa, z powtykaniami w nią tam i owdzie śpilkami o różnokolorowych chorągiewkach. Zaraz od progu Trociński pociągnął doktora ku tej karcie i wskazując na nią wyschlłym palcem, zasycał z wymuszonym śmiechem:

— Widzisz pan tę oto wierzbę nad strumieniem, a przy niej wetkniętą śpilkę? W tem miejscu stoję już od dziesięciu lat, pełnych oczekiwań, wzruszeń, rozjazdów we wszystkie strony świata, wydatków, które mię doprowadziły do ruiny niemal. A jednak nie ustępuję i stoję tam ciągle, jak zaczarowany, u tej wierzby nad strumieniem, gdzie się znajduje śpilką. Nie mogę się poruszyć z miejsca, dzięki niegodziwemu adwokatowi, oby go jasny piorun trzasł! A z drugiej strony wyszczerzają do mnie zęby ci oszuści, zbójcy, drapieżnicy, fałszywi świadkowie, i zacierają sobie ręce z zadowolenia... I gdzież tu sprawiedliwość, — pytam się? O gdyby ten niegodziwiec, ten oszust wpadł kiedy w moje ręce!...

Tu zazgrzytał przeraźliwie zębami. Doktor tymczasem potrafił zawładnąć jego prawą ręką i patrząc na zegarek, rachował uderzenia pulsu. Lecz szalenie, zauważył wnet tę jego czynność, wyrwał pośpiesznie rękę i wytrzeszczył nań zdumione oczy, wołając:

— Co pan robisz? Co to ma znaczyć?

— Jesteś pan chory, panie Trociński — tłumaczył ze spokojem doktor — bardzo chory!...



— Chory? z przerażeniem powtórzył beszyński pan. — Chory? Z czego to pan wnosisz?... A wreszcie niczy w tem nie było dziwnego. Djabeł by chyba nie zachorował od tych wszystkich trosk i niepokojów. Przekłęci ci ludzie nie dają mi spokoju ani dniem, ani nocą, susząc sobie wciąż mózg nad tem, by mię pozbawić reszty majątku, szczęścia, honoru... Trawią mię, niby jelenia w kniei, a głównym dojeżdżaczem jest ten łotr burmistrz, o którego nikczemną duszę czarci będą się kiedyś bili na tamtym świecie.

Słowa powyższe stały się błyskawicą objawienia dla młodego doktora: zrozumiał, że pacjent jego pomieszany jest na punkcie prześladowań, uważa się za nieszczęśliwą ofiarę złości ludzkiej. To też widząc, że wściekłość chorego staje się coraz gwałtowniejszą, wyciągnął z pod płaszcza przywieziony kaftan i zwracając się z uprzejmym uśmiechem do Trocińskiego, rzekł miodowym głosem:

— Jesteś pan rzeczywiście cierpiący... A jaki tu okrutny przeciąg! Możebyś pan zechciał ubrać się w ten oto...

Nie dokończył, bo Trociński, zobaczywszy warjacki kaftan, wpadł w nieopisaną wściekłość.

— Jakto? — wołał z pianą na ustach. Ośmielasz się pan robić ze mnie warjata we własnym moim domu?... Tego już zanadto! Oto są drzwi, mój panie! Albo nie, zaczekaj chwilkę, a zrobię ci taki przeciąg, że uniesie cię on wraz z przeklętym kaftanem!

Mówiąc to, rzucił się do zardzewiałych pistoletów, wiszących na ścianie.

Doktor miał ochotę wyrzec się jedynego swego chorego, gdy nagle drzwi otwały się z trzaskiem i na progu stanął siłacz Wojtek z odwinietymi rękawami. W jednej chwili doktor znalazł się za olbrzymią jego figurą i z bezpiecznej tej kryjówki starał się go zgrażać do walki.

Wkrótce potem oba pistolety — co prawda nie nabite — leżały już na podłodze, a obok nich Trociński, broniący się wściekle od dobroczynnego kaftana, który doktor, z pomocą potężnego sojusznika, usiłował mu gwałtem włożyć. Udało mu się to wreszcie, a zapal doktorski tak zagłuszył w Horliwym wszelkie uczucie litości, że nie wzdragał się własną chustką od nosa zawiązać silnie usta chorego, który nie przestawał wołać: — »Zbóje! Złodzieje!« Poczem, zadowolony ze swego dzieła, kazał zanieść na łóżko nieszczęśliwą ofiarę, miotającą się wściekle i straszliwie wytrzeszczającą oczy.

Zaledwie Horliwy zdążył spuścić frank koło łóżka, gdy do pokoju wsunęła się wysmukła postać młodego dziewczęcia w żałobnej sukni. Spostrzegłszy doktora, otarła śpiesznie wilgotne jeszcze od łez oczy i oglądając się niespokojnie dookoła, spytała srebrnym głosem:

— Co się tu stało? Gdzie się znajduje mój ojciec?

Doktor zbliżył się ku niej z dumnym poczuciem, że obowiązek swój spełnił uczciwie, a nawet z narażeniem własnego życia.

— W pierwszym rzędzie — zaczął poważnie — pozwól mi pani zadać sobie kilka pytań co do przeszłości i sposobu życia nieszczęśliwego twego ojca.

— Sądzę, że możesz się pan obejść bez tych szczegółów — odparła sucho młoda dziewczyna, rzucając mu wcale niezachęcające spojrzenie.

Doktor doznał niemiłego rozczarowania. Od pierwszej chwili olśniła go łagodnym swym wdziękiem, sądził że z szafrichów zrenic dziewczęcia przegłąda anielska dusza, a tymczasem zimne jej serce nie odczuwało cierpienia ojca.

— Nie przypuszczałem wcale — rzekł z gorzką wymówką w głosie, aby los ojca tak mało panią obchodził. A może nie masz pani do mnie zaufania?...

— Widzę pana po raz pierwszy w życiu, poprzednik zaś jego nie zbyt szlachetnie z nami postępował: przewlekał tę nieszczęsną sprawę tyle lat, przysyłał ojcu sążniste rachunki i nie doprowadził w końcu do żadnego skutku.

— Odosobniony przykład nie daje jeszcze prawa do wydawania wyroku potępiającego na wszystkich doktorów... Powołanie nasze należy do najszlachetniejszych i najwznioślejszych, gdyż celem jego jest uszczęśliwienie ludzkości... W danym jednak wypadku widzę jeden tylko środek: oddaj pani ojca do domu obłąkanych...

Młoda dziewczyna cofnęła się o parę kroków. Oczy jej cisnęły płomienie, gorący rumieniec oblał bladą twarz. Jakże pięknie jej było z tym wyrazem szlachetnego oburzenia!

— Panie! — zawołała podniesionym głosem, — nie pozwolę nikomu obrażać w swojej obecności nieszczęśliwego mego ojca!

— Ależ...

— Nie spodziewałam się tego po panu! Jeżeli sądzisz, że ten proces jest nie do wygrania, toś powinien raczej, bez bolesnych żartów, starać się przekonać o tem mego

ojca i skłonić go do zaniechania przekłetej sprawy. Co się tyczy mnie samej, to od bardzo już dawna nie śmiem z nim mówić otwarcie. Dla tego kawałka ziemi, o który procesuje się z miastem, ojciec mój stracił cały prawie majątek i dziesięć lat życia! Dni upływały mu bez pociechy i radości, w ciągłym niepokoju i rozdrażnieniu, aż stał się w końcu ciężarem sobie i drugim, — pozrywał wszelkie stosunki przyjaźni i znajomości, pędził życie smutniejsze, niż więzień za kratą, wśród tych nieszczęsnych szpargałów, nad tą kartą przekłętą! Przez cały ten czas ani razu nie spojrział na mnie z miłością, ani razu nie popieścił, starał się owszem dręczyć i dokuczać... Sądzę nawet, że wszystko to stało się powodem przedwczesnej śmierci mojej matki!..

Płacz przerwał jej mowę.

Młody doktor słuchał z coraz wzrastającym wzruszeniem. Przypomniawszy sobie, co słyszał dawniej o procesie beszyńskiego pana z miastem, przypomniał doktora Załogę i nagle — zrozumiał wszystko. Pierwszy jego chory znikł, jak bańka mydlana...

— Pani — rzekł drżącym głosem, z twarzą w płomieniach — pani, stała się okropna pomyłka: ja nie jestem doktorem prawa!

— Jakto? nie jesteś pan adwokatem... Dr. Załogą?

— Nie, — jestem doktorem medycyny i nazywam się Stanisław Horliwy. Woźnica powiedział jeno, że przyjechał po nowego doktora, a ja również od niedawna mieszkam w tych stronach...

Po tych słowach doktor zbliżył się do swego pacjenta, który przez cały ten czas zachowywał się nader spokojnie, rozwiązał chustkę, która zasłaniała mu usta i zdjął nieszczęsny kaftan...

— Słyszałeś pan zapewne wszystko — rzekł z rozpaczą. — Wbrew mojej woli i chęci stała się okropna pomyłka...

— Piękna mi pomyłka! Dziękuję za taką pomyłkę! — mruzczał Trociński, wyskakując z łóżka. Poczem zaczął szybko się przechadzać po pokoju z groźnię ściągniętymi brwiami, pocierając od czasu do czasu omdlałe ręce jedną o drugą. Nagle zatrzymał się przed doktorem, spojrzął mu w oczy i parsknął takim szczerym, głośnym śmiechem, że i Horliwy i córka poszli za jego przykładem...

Doktor został na wieczyrzy w Beszynie, a gdy w przyjemnie ogrzonym pokoju jadalnym zadzwoniły kieliszki, Trociński zawołał wesoło:

— Za twoje zdrowie, doktorze! Złożyłeś nam dzisiaj dotykany dowód niepospolitej swej wiedzy. Jaka szkoda, że nie posłałem o kilka lat wcześniej po ciebie i po twój cudowny kaftan... nie byłbym zmarnował na przekłety proces majątku i życia! Ale od dziś daję pieniactwu za wygraną!

...Późno wieczorem sanki leciały z Beszyna do miasta. Wojtek jechał ze spuszczoną w głębokiej zadumie głową, napróżno siląc się na zrozumienie dziwnych wypadków tego dnia. Dr Horliwy spoglądał rozmarzonym wzrokiem na iskrzący się śnieg, a gdy powieki mu się zamknęły, wszechpojętna wyobraźnia ukazała cudny sen. Widział wewnątrz wspaniałej świątyni, od światła płonącej — i siebie samego klęczącej przed głównym ołtarzem obok ślicznej dziewczyny o słodkiej i białej, niby lilja, twarzy, o błękitnych, jak niebo, oczach. Wszystkie patrzące na nich kumoszki szepotały sobie do ucha:

— Co za śliczna para! I nietylko śliczna, lecz i szczęśliwa, bo młody doktor ma olbrzymią praktykę!

Sen doktora spełnił się podobno od pierwszego do ostatniego słowa. Lecz to nie należy już do opowiadania o pierwszym jego chorym...

*Świętopętk Czech.*








---



---

**JANOSIK**<sup>\*)</sup>


---



---

*Janoszu! dzielny góralu!  
 Skąd ty wziął się na Podhalu  
 Taki rośły, taki wdzięczny,  
 Taki silny, taki zręczny?*

*Ty wysoki jak Łomnica,<sup>\*\*)</sup>  
 Jak lawina<sup>\*\*\*)</sup> twa prawica,  
 Jako Tatry twoje barhi,  
 Jak lot gwiazdy bieg twój szparhi.*

*Śatrzymasz orła w obłoku,  
 Gdy mu utkwisz oko w oku;  
 Ty obejmiesz ten buk w borze,  
 Co go objąć trzech nie może,*

*Janoszu! dzielny góralu!  
 Skąd ty wziął się na Podhalu?  
 Nie kobieta, ale szałta  
 Środzić nam ciebie musiała...*

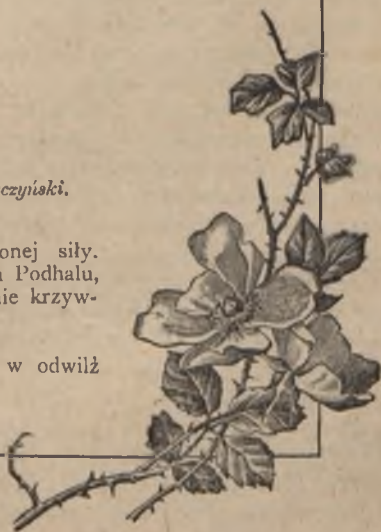
*Seweryn Goszczyński.*

---

<sup>\*)</sup> Janosik był to zbójnik, sławny z dzielności i nadprzyrodzonej siły. Dziwy opowiadają o nim ludzie po dziś dzień w Tatrach, na całym Podhalu, Śląsku, u Słowaków. A wdzięcznie go wspominają, bo ludu biednego nie krzywdził, — owszem, dopomagał mu i bronił przed uciskiem możnych.

<sup>\*\*)</sup> Łomnica — najwyższa w Tatrach góra.

<sup>\*\*\*)</sup> Lawiną nazywają masę śniegu, zsuwającą się gwałtownie w odwilż ze stoków gór.





## Z ziemi śląskiej.

(Ciąg dalszy).



Mile schodzi nam czas na rozmowie z Janem Juroszkiem od Burego, który rozpowiada o dawnych czasach: o początkach Izdebnego, o zbójnikach, o ciemnych lasach, co były niegdyś własnością górali. Radzi jednak gwarzymy i z Janem Śliwką, bo i on podoba się nam bardzo i od niego moc rzeczy zajmujących usłyszeć można.

Jan Śliwka wielce jest rozmiłowany w książkach. Ma ich może sto, a może więcej, i pilnie czytuje w długie wieczory zimowe. Od onego czytania przy malutkiej lampce, którą tu nazywają joniczkiem, że świeci się niby robaczek świętojański, — przytępiły mu się bystre oczy, a pokrętały włosy tam i ówdzie srebrem przesunęły. Śliwka jednak nic sobie z tego nie robi. „Nie szkoduję ja ani oczu, ni sił — powiada wesoło — radbych jeno wiedział wszystko, co jest dobrego i mądrego we świecie.“

Za pięknym przykładem ojca idą i dzieci, już dorastające, — o żonie zaś swojej Śliwka tak powiada: „Moja gniewała się dawniej, że tracę pieniądze, że marnuję czas na książki, ale teraz większą ma jeszcze do nich ciekawość, aniżeli ja sam, i gdy przyniosą z poczty gazetę, to pierwsza leci czytać.“

Wpływ dobroczynny oświaty widać na całym otoczeniu Śliwków, w domu i gospodarstwie. W świetlicy pierwsze miejsce zajmuje stół politurowany do pisania z szufladami, — czyli biurko, — roboty samego Śliwki, który, jako nieodrodny Izdebnianin, znakomicie zna się na stolarence. Na biurku — pismo święte i mnóstwo innych książek historycznej, rolniczej,

przyrodniczej, powieściowej treści. Za oknami świetlicy szumi sad. A nieco dalej widnieje szkółka drzewek owocowych, brzęcząca rojem złotych pszczół, Śliwka bowiem zajmuje się z zamiłowaniem sadownictwem i pszczelnictwem, chociaż ostry klimat górski stokrotnie utrudnia tu pracę w tym kierunku. Ba, wyrabia nawet wina owocowe z czarnych jagód, — z borówek, — które konewkami można zbierać na Śląsku, — a staranną uprawą podnosi z każdym rokiem wydajność kamienistej i wilgotnej roli.

Wiadomości, zbierane skrzętnie z książek, przydały się dzielnemu gazdzie nie tylko do wzorowego prowadzenia gospodarstwa i wychowania własnych dzieci, — skorzystali z nich i sąsiedzi, Śliwka bowiem pełnił przez dwa lata obowiązki nauczyciela w wiejskiej szkółce, we wsi Koniołkowie, położonej o parę kilometrów od Izdebnego. Raz jeden tylko widziałam dziatwę, którą kształcił i nauczał, lecz nie zapomnę jej nigdy. Dość mi pomyśleć o górach śląskich, a widzę wnet tę jasną gromadkę chłopców i dziewcząt, przybraną w świąteczne stroje i śpiewającą przy dźwiękach skrzypiec naszą pieśń drogą i świętą, nasz hymn zmartwychwstania: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Niedaleko od Śliwków, u Szarca, mam także dobrego znajomego, Jana Skurzoka. I ten lubi czytać, pielęgnuje pszczoły, zbiera owoce ze starannie utrzymanego sadu i mądrze chowa drobne dziatki. Nie zapamiętać, nie porachować, ileśmy to razy jeździli z przyjacielem Skurzokiem po górach i dolinach śląskich siwym jego konikiem! A czas się nam nie dłużył, owszem, nigdy nie zdążyliśmy powiedzieć wszystkiego, co trzeba było. Żywy, lotny umysł Skurzoka chciałby wszystko ogarnąć, wszystko wiedzieć. Mówimy więc o gwiazdach olbrzymich, co świecą na nie-



bie, i drobnych czcionkach, któremi gazety się drukują, — o dawnych czasach i o dniu dzisiejszym, — o historii, w księgach zapisanej, i o ślicznych bajkach, czyli kronikach, jak tu powiadają — które żyją jeno w pamięci ludu.

Bajki jednak najpiękniejsze słyszałam na Izdebnem od Michała Przygoniaka od Wojtaszów. Starszy to już gazda: liczy siedmdziesiąt roków, ale duszę ma młodą i na świat patrzy młodemi oczyma, co widzą wszędzie dobro i piękno. O każdym z sąsiadów ma zawsze coś dobrego do powiedzenia, wszystkim życzy jak najlepiej, dla wszystkich ma serce otwarte i szczere. Nie zazdroszcząc nigdy nikomu, zadowolony jest najzupełniej ze swego losu. Miło słuchać, gdy pocźnie wychwalać swoje dzieci i wnuczeta, lub radować się z kapusty, co wyrosła bujnie na zagonie, — z owsa, co podzwania kistkami w polu. Uprzejmy i serdeczny, jak wszyscy wogóle Izdebnianie, opowiadał mi często zasłyszane od ojców bajki, które zapisywałam z całą skwapliwością. Mówi bardzo pięknie, bogatą i obrazową gwarą góralską, która przypomina język sławnych naszych pisarzy ze złotego wieku. Opowiadanie jego wywiera tem silniejsze wrażenie, że sam przejmuje się z młodzieńczą żywością tem, co mówi, a przy weselszych ustępach wybucha niepowstrzymanym, dźwięcznym, szczerym śmiechem.

Michał Przygoniak miał kilkoro dzieci, pracował więc przez całe życie wytrwale, bez przerwy, ile sił starczyło, aż ręce mu teraz drżą okrutnie od onej siekiery, którą rąbał zazwyczaj przez calutką zimę śmigł smereki w lasach arcyksiążęcych. „O, gdybych mógł pokazać wam całą moją pracę! — mówi z dumą i wzruszeniem, składając ręce, jak do modlitwy, i podnosząc ku niebu twarz łagodną, wyrazistą i po dziś dzień bardzo jeszcze piękną. — O, gdybych mógł pokazać! Wiele tego było, wiele, — nie zliczyć! Alech dziewczuchy wszystkie powydawał, a gruntu nie potargał, — nie! Na całych pięciu morgach gazduje dziśka syn, Jano!“ — Na wspomnienie syna twarz mu się rozpogadza, z oczu idą blaski. Jano, to jego duma i radość największa. Na Izdebnem wszystkie dziewczeta umieją śpiewać, a chłopcy śpiewać i grać, — jest też kilku muzyków zawodowych, ale w rękę Jana gajdy <sup>1)</sup> inaczej hucają,

<sup>1)</sup> Gajdy — kobza.

skrzypce inaczej zawodzą, niż u innych. W lot uchwyci i wygra każdą bojtkę <sup>2)</sup>, którą usłyszysz, choćby ona wcale nie była podobna do śląskich, — choćby leciała od Krakowa, krzesząc ogień podkówkami, albo z Mazowsza płynęła, zawodząc: „Dana, oj dana!“ — lub z szerokiej Ukrainy ozywała się jękiem rzewliwym, albo z tatrzańskich gór wysokich, jako oreł, hukała... Poradzi i własne smutki, własne żale skrzypcami wypowiedzieć, — bo skrzypce to jego instrument najulubieńszy. — „Guśli <sup>3)</sup> — tłumaczy, dotykając z lubością smyczkiem dźwięcznych strun — guśli lepsze od gajd, jarganków <sup>4)</sup>, piszczałki, trąby — na guślach, co zechem, to wyrobim.“

Ze skrzypcami też w rękę widzicie go, mili, Czytelnicy, na tym oto obrazku. Drugi natomiast muzyk, Paweł Karch z Leszczyнки, przygrywa na gajdach, czyli kobzie. Trzeci ze stojących tu górali — to Kawulok z Koniokowa.

Jan Przygoniak od Wojtaszów nie tylko jest pierwszym muzykiem w swojej okolicy, lecz i w stolarce nikt go nie prześcignie. Wszystko, co wyjdzie z pod jego hebla, doskonale jest zrobione i świadczy o wielkim talencie do wszelkiej roboty ciesielskiej, stolarskiej, snycerskiej. Spytacie może, gdzie się tego wszystkiego wyuczył? — Do terminu nie chodził nigdy, u żadnego majstra nie ćwiczył się ani w rzemiośle, ani w muzyce. Wielką mistrzynią była mu jeno wspaniała przyroda górską, co rozwija w duszy ludzkiej poczucie, zrozumienie i zamiłowanie piękna....

O Izdebnianach wciąż mówię i mówię, a przecież i gosposie i dziewczeta zasługują niemniej od swoich mężów, braci i ojców, na wspomnienie serdeczne. Juroszkula od Burego — to gosposia nielada! Wszystkiemu daje radę, choć dzieci gromadka liczna i gospodarstwo nie małe. Skurzokowa dzieli wszystkie prace, trudy, chęci i zabiegi męża, jak na wierną towarzyszkę życia przystało. Hanna Przygoniakowa, cicha i słodka, niby jagnię, na wszystko znajduje czas, choć całe gospodarstwo na jej barkach spoczywa, bo mąż, muzyk i majster, po weselach gry-

<sup>2)</sup> Bojtki — piosenki świeckie, w odróżnieniu od pieśnierek kościelnych.

<sup>3)</sup> Skrzypce.

<sup>4)</sup> Harmoniki.

Michał Krupa  
rednik pom. pocztowy



wa, warsztat prowadzi, więc nie wiele może o roli myśleć.

Ale znam na Izdebnem także i kobiety samotne, którym życie w warunkach stokroć twardszych upływa, które jednak zwalczają trudności i zły los zmagają dzięki sile ducha, dzięki niepospolitym zaletom charakteru. Do takich należy Hanna Urbaczkuła od Wencla. Bez ziemi, z pracy rąk jedynie, wychowała siedmioro dzieci na uczciwych i dzielnych ludzi, a przez lat kilka utrzymywała i pielęgno-

życia wybudował na skraju wioski. Spieszy do ciemnych lasów arcyksiążęcych — na grzyby. Nieraz chwyta ją ból w boku, trapiący oddawna, że ani zgiąć się nie może, ona jednak na to nie zważa i czołgając się na kolanach po chłodnej rosie, napełnia kosze grzybami. Potem suszy je na sprzedaż w domu, lub biegnie ze świeżemi o kilka mil, do Trzyńca, bo tam lepiej płacą, niż w Jabłonkowie. Dla zwiększenia szczupłych dochodów wykarmia na sprzedaż drób, zwłaszcza gęsi, — w cza-



Muzycy izdebniańscy: JAN JUKOSZEK i PAWEŁ KARCH.

wała męża, dotkniętego nieuleczalną chorobą, który ją odumarł, gdy 8-me dziecko, upośledzone na zdrowiu i umyśle, w kolebeczce jeszcze płakało. Naprawdę, wiele się można nauczyć i stać się lepszym, przypatrując zbliska życiu Urbaczkuły. Z rana, przed świtem, kiedy cały świat jeszcze śpi, ona już wybiega z samotnej chaty, którą mąż z pracy krwawej całego

sie zaś robót polnych pracuje u gazdów, — ona sama i młodsze dzieci, — te, co nie pòszły jeszcze „do światu“ na służbę, na zarobki. Najbardziej jednak budującym w tem wszystkim jest to, że walka z twardą dolą nie zatruła duszy Urbaczkuły goryczą lub zniechęceniem, — owszem podniosła ją, uszlachetniła, przyodziała majestatem słodkiej powagi, cichej pogo-



dy. To też ctacza ją ogólny szacunek i życzliwość, a gazdzinki powtarzają z żywym wzruszeniem: „Urbaczku! wyświadczyć jaką przysługę, to jedno, co na ołtar dać.“

A teraz, drodzy Czytelnicy, zechciejcie spojrzeć na tego oto Izdebnianina, co stoi pośrodku na obrazku. To Franciszek

rali — świecą mu czarne oczy i włosy ma pokrętawe — jeno że, jadąc do Cieszyna, do fotografii, posmarował je mocki szperką. Natomiast jego gazdzinka, siostra Skurzokowej, okrągła, różowa i drobna, jak tamta. Ale córka najstarsza, miła, dzielna dziewczyna, nie wiele niższa od ojca, a synek, co się uczy w gimnazjum



STONEK z Koniokowa, KOBIELUSZ z Izdebnego, URBACZKA z Jaworzynki.

Kobielusz, po przywisku Jegier. Mówią mu też Szałaśnik, bo rządzi na szałasie, czyli hali, położonej na Młodej Horze, kędy Izdebnianie wypasają przez lato owce i krowy, robią masło, serki, bryndzę. Kobielusz — to rasowy góral. Bez kyrpci, bosko stojąc, wysoki jest na dwa metry, a smukłością postawy przypomina smerek, w gęstym borze wyrosły. Z pod czarnych brwi — jako i u większości gó-

w Cieszynie, z pewnością go dorośnie. Kobielusz ma na obrazku po prawej stronie gazdę z Koniokowa, a po lewej Urbaczkę, wójta z Jaworzynki. Urbaczka piastuje też urząd szałaśnika i gościł nas na wysokiej Śliwkuli. Żenczyca i bryndza smakowały wybornie, ale bardziej, niż one, podobała się nam trąba pasterska, długa na trzy metry. Uprzejmy owczarz, który przez całe lato przebywa na Śliw-

kuli, grał nam na onej trąbie pieśni prze-  
rozmaite, jedną od drugiej szumniejszą.  
A w końcu zagrał staroświecką bojtkę,  
którą dawniej owczarze dawali znać do  
wsi, że zbójnicy są na szalasiu i gospo-  
darują tam, jakby we własnym domu.  
Słowa do tej muzyki brzmią, jak nastę-  
puje:

Pójeie, pójeie haw <sup>5)</sup>, gazdowie!  
Przyszli haw mieszkarze:  
Uż owieczki rzezają,  
Syreczek papają <sup>6)</sup>...  
Pójeie haw chutniuczko <sup>7)</sup>,  
Bo uż ieh małuczko.

*M. Wystouchowa.*



Wewiórka i jej gniazdo.

## 〰〰 Czyny nauczające. 〰〰

**B**yło to dawno, — bardzo dawno —  
lat trzysta temu. W Polsce zmarł  
Stefan Batory, król mądry i spra-  
wiedliwy, rycerz dużej ręki. Umiał  
w kraju, u siebie, poskramiać bute  
szlachty, sąsiadom nie dał najeżdżać granic  
naszej Ojczyzny, a Moskali bił tego, — hej, tego  
i daleko w ich ziemię zapuszczał zagony...

Ale cóż, śmierć położyła kres wielkim  
czynom, wielkim planom Batorego. I wnet  
po jego zgonie zawierucha zerwała się w kraju.

W Polsce, jak wiadomo, tron nie był  
dziedziczny, jeno szlachta obierała króla.  
Owoż po zejściu z tego świata Batorego część  
szlachty, znacznie większa, okrzyknęła królem  
polskim królewiczem szwedzkiego Zygmunta,  
zaś mniej liczna obrała Maksymiljana, arcy-  
księcia austriackiego. Nieszczęsne to rozdwo-  
jenie stało się powodem wojny. Maksymiljan

<sup>5)</sup> Haw — tu.

<sup>6)</sup> Papac — jeść.

<sup>7)</sup> Chutniuczko — wartko, żwawo.



wkroczył do Polski na czele wojska austriackiego, aby zwalczyć stronników królewicza Zygmunta przy pomocy oddanych sobie panów.

Owoż podczas onej wojny obronę zamku Olsztyna powierzono osiwiiałemu w bojach za Ojczyznę Kasprowi Karlińskiemu.

Kasper Karliński niedawno się był właśnie ożenił po raz wtóry z cnotliwą dziewczyną, sierotą, której na imię było Dorota. Mieli już z tego małżeństwa malutkiego synka, śliczne dziecko, które było radością i dumą ojca, a szczęściem matki.

Na pierwsze jednak hasło, że Ojczyzna w potrzebie wzywa synów do boju, Karliński pozostawił żonę i dziecko w małym dworku wiejskim, a sam objął dowództwo nad załogą w Olsztynie, ślubując Bogu i sobie, że bronić jej będzie, dopóki tchu starczy w piersi.

Tymczasem co się nie dzieje: moźny sąsiad Karlińskiego, starosta Stadnicki, którego zwano w całej okolicy djabłem, napadł jego dworek, porwał mu dziecko, i kazał je uprowadzić wraz z niańką do nieprzyjacielskich wojsk Maksymiljana. A wojska one oblegały właśnie Olsztyn, radość więc tam powstała niezmierna ze schwywania synka Karlińskiego. »Tośmy dopiero wygrali! — krzyczeli Niemcy. — Mężny wódz polski nie będzie teraz walczył z nami, jak stary lew, lecz dobrowolnie odda fortecę, w zamian za dziecko«.

I wnet posła do Olsztyna wysłali. Ów stanął przed Karlińskim i tak powiada:

— Panie, wydaj nam twierdzę dziś jeszcze, bo w przeciwnym razie zamordujemy twego syna!

Wszystka krew spłynęła Karlińskiemu na te słowa do serca. Zbladł, jak płótno, lecz odrzekł ze spokojem:

— Nie zdradzę Ojczyzny. Nie oddam Olsztyna wrogom. Idź i powtórz Niemcom, coś słyszał.

Po odejściu posła siwa głowa Karlińskiego nisko na pierś opadła. Myślał o dziecku, o grożącej mu śmierci, o straszliwej rozpacz Doroty...

Wtem widzi, że wojsko nieprzyjacielskie podsuwa się pod zamek i wnet do szturm uderzy. Zapomina więc o własnej boleści, wydaje rozkazy gromkim głosem, biegnie na mury, każe wymierzyć armaty... I nagle staje, jakby piorunem rażony... Przed wojskiem niemieckim widzi piastunkę z dzieckiem na ręku, więc strzał, skierowany w nieprzyjaciela, zabije, — zabić musi — jego własnego syna... Oh, szatański pomysł Niemców!

Okropna walka powstaje w duszy Karlińskiego. Przeraza go myśl ojcobójstwa, żal mu dziecka jedynej pociechy i osłody na stare lata, — z drugiej jednak strony podnosi głos miłość Ojczyzny, — poczucie obowiązku. On, co przelewał krew na tyłach bitew, miałby się okryć hańbą, miałby otworzyć drogę nieprzyjacielowi do Polski? O nie! — nie! Nigdy!

Ciska na ziemię i depcze białą chorągiew, którą już chciał wywiesić na znak poddania się, porywa zapalony lont i przykłada do armaty, wołając rozdzierającym głosem:

— Wpierw byłem synem Ojczyzny, niż ojcem!

Błysk, huk — dym się rozprasza powoli... Karliński widzi pod murami trupy Niemców i dziecko swoje, skrwawione — zabite, lecz widzi też i uciezkę nieprzyjaciela. Wojsko Maksymiljana przeraziło się człowieka o niezłomnej duszy, co nie wahał się dziecko jedyne Ojczyźnie poświęcić — i cofnęło z pod Olsztyna.

Ofiara Karlińskiego bujny wydała owoc: przykład jego zagrzał serca rodaków do walki tem oporniejszej i wojska austriackie musiały wnet ustąpić z całej Polski, jak ustąpiły z pod murów Olsztyna. — W Ojczyźnie naszej zapanował spokój i zgoda!

Bohaterski czyn obrońcy Olsztyna dostarczył wątku poecie, Władysławowi Syrokomli, do dramatu pod tytułem: »Kasper Karliński«.

Piękny ów dramat grywano w teatrze w Wilnie i Warszawie, a publiczność przyjmowała go z uniesieniem i zachwytem niezmiernym. Do najbardziej wzruszających należy ustęp, w którym Karliński, zdecydowany już na śmierć syna, wypowiada uczucia swoje takimi słowy:

Przebaczcie mi, Nieba,  
Żem się zawahał w tak stanowej sprawie!  
Synu! czas przyszedł — wylać krew potrzeba!  
Na drogę śmierci ja ci błogosławię!  
Żegnaj mi, synu, cześć młodej twej głowie,  
Że krew przelałeś w krajowej potrzebie!  
Kocham cię więcej, niżli własne zdrowie,  
Ale powinność droższa mi od ciebie.  
Ziemio mych ojców, bierz dar prawowitny  
Z krwi pacholęcia i z ojca katuszy!  
Boże najwyższy! Ojczyźnie miłosierny,  
Bądź tam miłościw jego czystej duszy!







## Listy do „Zorzy“.

Zakopane. — Kuźnice. Dnia 9. lipca 1901.

Szanowna Redakcjo!

Najpierw zanosimy serdeczne podziękowanie za miłą nam „Zorzę“, którą odebrałyśmy dnia 4. lipca. Prawieśmy pracowały w owym tygodniu w nocy na fabryce, kiedy najukochańsza „Zorza“ do nas doszła i bardzośmy się ucieszyły, żeśmy się mogły znów dowiedzieć coś ciekawego. A tem bardziej i smutnego, bo, mój Boże, jak my sobie ten kawałek przeczytały o tych dzieciach polskich, że się muszą pod Prusakiem uczyć wszystkiego w szkole po niemiecku, a tembardziej i katechizmu.

Te biedne dzieci! One już są zawsze w męczarni, dla tego, że Polska nie jest wolna, lecz pod jarzmem. Ach, Boże, kiedyś czytała tę „Zorzę“, tom sobie pomyślała, że może nam najlepiej w tych górach, w Tatrach, jak tym kozom, które sobie ciągle latają po górach i o nic się nie troszczą. No, ale przecie tak zawsze nie będzie, bo i teraz swoją drogą musimy się czem potrudnić. No, ale znowu nie tak nam źle, jak w tym kraju polskim pod Prusakiem się dzieje, że po niemiecku muszą się uczyć i tak ich biją w szkole, że one rade po polsku mówią.

Teraz donoszę do najukochańszej Redakcji, że w przeszłym miesiącu to jest w czerwcu, podobnie dnia 23. wybrał się ksiądz od jezuitów z paniczem do gór, na Giewont—i już wracali do domu o półnej godzinie i biedny panicz 17 letni poszedł po śmierć, bo spadł z Giewontu i na miejscu się zabił i coś trzy metry do śniegu go wbiło, ponieważ jeszcze śnieg u nas w górach. I ksiądz się także potłukł, ale nie bardzo. Wrócił z gór coś o dwunastej godzinie w nocy i zaraz dał znak w gminie. Więc poszło czterech górali zaraz na Giewont i przynieśli biedaka do Kuźnic. Głowę miał zupełnie rozbita.

Teraz drugi wypadek, że się także i jakaś pani utopiła w Zakopanem. Teraz w tym miesiącu, dnia 8. lipca poszła

pewna pani z tych, co tu na lato przyjeżdżają do gór, ze synem. Szli przez wysoki wierch Zawrat i także pani spadła i bardzo się zraniła. Nawet już sama nie wróciła, tylko po nią na drugi dzień poszło czterech chłopów góralskich, przewodników—i przynieśli ją na nosidłach do Kuźnic. I zaraz tam byli doktorzy i gości dosyć dużo i powieźli ją do Zakopanego. Nic nie wiadomo, czy będzie żyła, czy nie. No a syn to się tylko trochę potłukł, ale nie bardzo, bo jeszcze sam przyszedł.

Teraz jeszcze przepraszam najukochańszą Redakcję, żeś sobie tak dużo pozwoliła pisać o tych wszystkich wypadkach w tych górach, bo wszystkie takie smutne, ale i całe nasze życie smutne.

Pozdrawiam wszystkie nasze drogie Czytelniczki „Zorzy“.

Ja, Teresa Szeliga z Antoniną Szmid.

Osielec. W czerwcu 1901.

(Cygan — zawsze cyganem). Ośmielona prośbą z gazetki czerwcowej, podaję jedną bajeczkę z pomiędzy kilkunastu, które się mi w głowie poniewierają. Być może, że ją niektórzy słyszeli, lecz może więcej takich, co jej nie słyszeli.

Było to jeszcze wtedy, gdy Pan Jezus żył na ziemi, chodził, leczył, uzdrawiał i wskrzeszał. Dowiedział się o tem cygan, przyszedł więc ku Panu Jezusowi i oświadczył, iż chce być jego uczniem i chodzić z nim, P. Jezus nie odtrącał nikogo, więc i cygana przyjął.

Przyszedłszy Jezus do pewnego dworu, uzdrowił tam sługę, a wdzięczny gospodarz ubłagał, aby raczył przyjąć gęś pieczoną, jeżeli już żadnej zapłaty wzięć nie chce. Więc Pan Jezus dał cyganowi tę gęś, aby ją niósł. Owoż cygan zjadł jedną nogę gęsi, idąc z tyłu za Panem Jezusem, a potem przysięgał się i zaklinał na duszę i ciało, że nie winien jest łakomstwa i że ta gęś jedną zapewne nogę miała od urodzenia.

Idą dalej i widzą gęś, stojącą na jednej nodze. Cygan z tego korzysta i pokazując Jezusowi, woła, że oto jest inna znowu gęś, co też ma jedną tylko nogę i powtórnie klnie się, że nie winien jest łakomstwa.

Idą dalej, a wszechwiedzący Pan Jezus wyjmując z pod wielkiej skały skarb, siada u stóp skały i poczyna dzielić złoto i srebro na trzy równe kupki.



Widząc to cygan, pyta, dla kogo będzie trzecia kupka? Na to Jezus mówi: „Ta trzecia kupka będzie dla tego, co zjadł nogę gęsi“. Wtedy cygan woła w niebogłosy: „Ja, ja zjadłem!“ i garnie ku sobie dwie kupki pieniędzy...

Pozdrawiam Szan. Redakcję, a także wszystkie współczytelniczki nasze.

*Aniela Wyrobek.*



## ROZMAITOSCI

**Ku pamięci bojowników wolności.** Dzień 31. lipca Lwów święcił — dorocznym zwyczajem — jako rocznicę zgonu Teofila Wiśniewskiego i Józefa Kapuścińskiego, straconych na szubienicy 31. lipca 1847 r.

Teofil Wiśniewski od młodych lat ku wielkiemu dążył celowi i święte marzenie piastował w duszy. Celem onym wielkim była niepodległość Polski, — marzeniem, że sam będzie mógł przyczynić się do wolności i szczęścia ukochanej Ojczyzny. Jakoż przez dłuższy czas przebywając w Paryżu, brał czynny udział w pracach Towarzystwa Demokratycznego, które dążyło do tego, aby przez lud i dla ludu uwolnić Polskę. To znaczy: przy pomocy milionów ludu zrzuć obce jarzmo, połączyć w jedno rozdarte na trzy części kraj, a potem w wolnej już Polsce znieść pańszczyznę, oddać właścicielom ziemię na własność i nadać wszystkim obywatelom, wszystkim mieszkańcom — równą prawa.

Tę wolność, tę sprawiedliwość w urządzeniach społecznych, której nie było jeszcze w żadnym kraju. Polacy mogli jedynie osiągnąć walką orężną. Po dłuższych więc pracach przygotowawczych, które trwały od upadku powstania listopadowego, to znaczy od 1831 r., wyznaczono dzień, w którym walka o wolność miała zawrzeć ponownie we wszystkich ziemiach polskich, a więc pod Moskałem, Prusakiem, Austriakiem.

Jednym z tych, co mieli dać hasło do boju, był Teofil Wiśniewski. Jakoż w dzień 19. lutego 1846 r. znalazł się w karczmie,

zwanej okrągłą — w powiecie złoczowskim i wygłosił gorącą przemowę do zgromadzonego ludu. Tłumaczył, że mają się bić dla zerwania sromotnych więzów pańszczyzny i kajdan obcych wrogów, — że mają się bić o ziemię, o wolność, o szczęście wszystkich stanów, całego narodu, — a w końcu przemówienia wezwał do walki. Ale zgromadzeni słuchali go obojętnie, z niedowierzaniem, z uczuciem gniewu.

Lud nie miał w owych czasach ani szkół, ani książek i gazetek, dla siebie pisanych, — lud patrzył na dwory i na państwa z nieufnością, bo też wiele krzywdy od nich doznawał. Nikt więc ze słuchaczy nie poszedł za głosem Wiśniewskiego, — wstąpił skrzepowat go i oddano w ręce władzy... Potem nastąpiły znane nam wszystkim straszne, krwawe wypadki...

W kilkanaście miesięcy po uwiezieniu, Teofil Wiśniewski i towarzysz jego, Józef Kapuściński, zostali straceni na szubienicy we Lwowie, na górze zwanej Hycłową. Wnet po egzekucji mieszkańcy Lwowa rozpoczęli pielgrzymkę na oną górę, sypali kwiaty u stóp szubienicy, modlili się, płakali... I odtąd rok rocznie tłumy gromadzą się w dniu 31. lipca na miejscu stracenia, — płoną tu światła, brzmią pieśni patriotyczne, słowa gorących przemówień krzepią serca, — młodzież rozdaje książeczki pouczające...

**Hołd Kościuszce.** Daleko, na wolnej ziemi Szwajcarów, znajduje się wspaniały zamek, zwany Raperswil. U stóp zamku błyszczy jezioro, wielkie, niby morze, — a dalej biegnie łańcuch gór, Alp wspaniałych, tak wysokich, że śnieg nie topnieje nigdy na ich szczytach.

Ów zamek Raperswil odwiedzany bywa licznie przez Polaków, a zna go również i nie jeden z drogich czytelników „Zorzy“, że wymienię panów: Jakóba Bojkę, Franciszka Wojcika, Wojciecha Wiąca, Wawrzyńca Łukę, M. Tworka i innych. Cóż ich tam wszystkich ciągnie? — Może ciekawość? — Nie — serce! Bo w zamku Raperswilemskim znajdują się przeróżne pamiątki polskie: cenne rękopisy, dzieła, pieczęcie, chorągwie, dawne mouety, broń nasza dawna, — przedmioty rozmaite, które były własnością sławnych mężów, wodzów, królów, jak: Kościuszko, Batory, Sobieski. Od niedawna zaś w osobno zbudowanym jakby nagrobku, spoczęło w Raperswili i serce Kościuszki...

Dla złożenia hołdu temu sercu, co było za wolność i dla wolności narodów, spieszą do Raperswili nie tylko Polacy, swoi, — lecz i obcy. Oto niedawno odbyła się tam piękna uroczystość. Po srebrnych falach jeziora nadpłynął statek, przybrany w chorągwie i zielone gałązki smereków. Zdaleka już słychać było wspaniałe dźwięki bojowej pieśni francuskiej, którą śpie-



wało chórem wiele młodych, silnych głosów. Nareszcie statek zawinął do portu i na brzeg wysypało się mnóstwo młodzieży, mężczyzn i kobiet. To członkowie stowarzyszenia młodzieży szwajcarskiej pod nazwą „Wolność“, wybrali się do Raperswilu, wraz z młodzieżą innych narodowości, uczącą się w Szwajcarii, — aby złożyć, w dowód czci, u serea Kościuszki wieniec z napisem: „Niech zmartwychwstanie Polska!“

Całe to liczne grono, złożone ze 150 osób, udało się natychmiast do kaplicy, w której spoczywa serea Kościuszki, zabalsamowane w ten sposób, aby nie uległo zepsuciu, — a prezes stowarzyszenia „Wolność“, po złożeniu wienca, wygłosił piękną mowę. Czczył w niej zasługi Kościuszki, — wyraził szczerze uczucia zgromadzonych dla walczącego od stu lat o niepodległość narodu polskiego, — przypominał jak niegdyś serea zaenych ludzi wszystkich narodów były żywo dla sprawy polskiej i zakończył życzeniem, aby Polska odzyskała jak najrychlej wolność i niepodległość.

Na przemówienie dzielnego przedstawiciela młodzieży szwajcarskiej odpowiedział znany dobrze czytelnikom „Zorzy“ dr. Karol Lewakowski, były poseł do Rady państwa z miasta Lwowa, pierwszy prezes Stronnictwa Ludowego w Galicji. — „Wasza tutaj pielgrzymka, wypowiedziane tu gorące słowa i ten wieniec, złożony u serea Kościuszki, dowodzą jasno, że i Wy pragniecie wstąpić w ślady tego bojownika wolności, który przez ocean podążył, aby walczyć tam, gdzie się toczył bój o wolność, — który później, uwieczniony sławą, pospieszył do własnego kraju, aby tę samą walkę podjąć... Wierząc w te Wasze uczucia szlachetne i ceniąc je wysoce, nie dziękuję Wam, tylko podaję braterską dłoń do uścisku Wam, synom tylu rozmaitych narodów, — jak kiedyś z pewnością wszystkie narody podadzą sobie ręce w miłości wzajemnej i braterstwie, — ku szczęściu ludzkości“...

„Światła, — więcej światła!“ Przy zamknięciu obrad sejmowych, poseł Bojko wygłosił mowę, w której wzywał inne stany, aby nie tłumili ruchu ludowego, bo to zbrodnia wobec zasad sprawiedliwości, — zbrodnia wobec własnej Ojczyzny. Nie powtarzam tutaj całego tego przemówienia, bo większość Czytelników już je zna z „Przyjaciela Ludu“, nie mogę jednak, — wprost nie mogę — pominąć milczeniem ustępu, w którym p. Bojko, określając działalność posłów - chłopów w Sejmie, podnosi ze słuszną dumą, że stawiali oni zawsze cele oświaty na pierwszym miejscu. Oto jego słowa:

„Podczas całej kadencji wołaliśmy do pełnej lżby najwięcej o światło dla ciemnych nas i o chleb dla biednego ludu. Ciemnotą upadliśmy, — ciemny, nieoświecony lud nie ma chleba, nie ma nieba, jest ciężarem dla społeczeństwa, wśród którego żyje, i musi być pod władzą narodu światłego. Widząc tyle jeszcze w kraju braci naszych ciemnych, wiedząc, że tacy są wstydem i ciężarem dla kraju, czując co warta człek światły, a co ciemny, wołamy oświaty. Zrobił się krok naprzód — to prawda, ale nie taki, jakiegośmy sobie życzyli i nasi następcy wołać pewnie będą tutaj za poetą Getem: „Światła, więcej światła!“

### Oby lekka mu była ziemia ojczysta!

W Krakowie, dnia 5. lipca zmarł Ignacy Żółtowski, człowiek przeznaczonego charakteru i wielkich zasług. „Nowa Reforma“, pismo, wychodzące w Krakowie, tak pisze o zmarłym:

„Była to postać znana i szanowana w Krakowie; był to jeden z ludzi, którzy wszystko zawdzięczają sobie i swej pracy. Syn niezamożnego domu szlacheckiego na Wołyniu, wybrał się w świat szukać szczęścia. Wkrótce potem, powoli dobijając się pracą majątku, osiadł nad morzem Azowskiem\*) i tu trudnił się rolnictwem oraz rybołówstwem na wielką skalę. Po wojnie krymskiej zapadł silnie na zdrowiu, zlikwidował nieruchomy majątek i uzyskawszy znaczną gotówkę, udał się do Włoch, gdzie wkrótce odzyskał zdrowie. Do Krakowa ciągnęło go serea i otwarte pole do pracy obywatelskiej. Tutaj też osiedlił się w r. 1868 i zajmował się gorliwie opieką nad nauczycielstwem ludowym, nosząc mu materjału pomoc i przyczyniając się ofiarnie do zakładania ogródków szkolnych; oprócz tego okazał opieką młodzież i dostarczał środków na ukończenie nauk, kładąc za warunek, aby obdarowany po uzyskaniu posady, innemu potrzebującemu używał pomocy. Zajmował się też ludem polskim na Śląsku, pragnąc zabezpieczyć jego przyszłość narodową i w tym celu przyczynił się do założenia w Cieszynie polskiej Kasy zaliczkowej oraz Domu narodowego; tam też odbywał częste podróże na wiece i zebrania. W ostatnim czasie zbudował dom dla kolonij wakacyjnych w Kochanowie i poniósł w tej mierze znaczną ofiarę. Dla siebie oszczędny, otwartą miał zawsze dłoń, gdy szło o cele dobre i szlachetne, gdy szło o pomoc dla prawdziwie ubogiego.

W zmarłym traci nasze społeczeństwo zaenego człowieka, który przez szereg lat pracował z całą gorącością serea w miarę sił

\*) Morze Azowskie położone jest na północ, od morza Czarnego i łączy swoje wody z jego wodami.



swoich dla ogólnego dobra. W ostatnich latach, dotknięty ciężką chorobą, zamknął się w swoim mieszkaniu, ale i z tego odosobnienia śledził żywo bieg wszystkich spraw, naród obchodzących, interesując się nimi gorąco!

Fundusz, zbierany gorliwą pracą całego życia, śp. Ignacy Żółtowski przeznaczył na cele bardzo piękne, a mianowicie: 12.000 kor. na kolonie wakacyjne dla ubogiej dziatwy, i 2000 kor. na Towarzystwo Oświaty ludowej, dla akademika, kończącego nauki na uniwersytecie Jagiellońskim ze znakomitą postępem, do dyspozycji senatu akademickiego 1000 kor., na zakład pracy w Krakowie 500 kor., na weteranów z r. 1831 i 1863 — 400 kor., na ubogich Krakowa 200 kor.

Na Śląsku Cieszyńskim śp. Żółtowski był też bardzo znany i kochany. Pamiętam na przykład, jak na jednym z walnych zgromadzeń Towarzystwa Pedagogicznego w Cieszynie, jego telegram z życzeniami witany był radością najwyższą — oklaskami, które umilknąć nie chciały.



## Rady gospodarskie.

**Na żniwa — wyborna potrawa.** Czas drogi we żniwa, gdy słońko świeci, szkoda go marnować na warzenie obiadu, więc Wam opowiem, miłe Czytelniczki, jak sobie radzą wtedy gospoście wiejskie w rodzinnych swoich stronach, na Litwie, — może się to której przyda.

Trzeba narwać duży kosz buraków. Cienkie blaszki od liści oberwać, ale zostawić łodygi. Potem pięknie i drobniutko te łodygi posiekać osobno, a same buraki, starannie umyte w kilku wodach, osobno. Zaczem jedną i drugą siekaninę włożyć w kocioł, nalać tyle wody, aby to było gęste, nie rzadkie, mocno uwarzyć, a potem wynieść na chłodek do komory. I rzecz skończona, — teraz trzeba jeno zjeść. Owoż gospoście, wychodząc z rana w pole do roboty, nabierają onych gęsto uwarzonych buraków z łodygami w garki, solą, mieszają z maślanką, kwaśnem lub słodkiem mlekiem, a nawet serwatką, — co kto ma — i noszą w pole. A tam w upalne południe strasznie smakuje ta bryja chłodnawa, kwaskowata. Jeść ją dobrze z chlebem lub ziemniakami. Ma się rozumieć, że taki barszcz, odegzany i zaprawiony soperką, też bardzo smakuje.

Ze uwarzone w wyżej opisany sposób buraki nie zepsują się nawet przez cały tydzień, o tem same wiecie doskonale.

Ja wiem: na Śląsku ikt tego czytać nawet nie zechce, bo tam cwikli wcale nie jadają, ale w Galicji — powtarzam — może się komu przyda.

### Zdrowy, smaczny, pożywny napój z chleba.

Wziąć pół bochenka chleba czarnego, razowego — najlepiej jeśli jest upieczony z mąki żytniej, mieszanej z pszeną — pokrajać na kromki i ususzyć dobrze w piecu, bacząc, by się nie spalił. Tak ususzony chleb włożyć do dużego garnka, zalać wrzącą wodą tyle, aby było w garnku pół chleba, pół wody i postawić tak przez noc, aby wystygło należycie. Nazajutrz starannie, precedzić przez sito, do precedzonego dodać  $\frac{1}{4}$  funta miłkiego cukru i za dwa lub trzy centy drożdży, rozmieszanych w zimnej wodzie. — zamieszać to wszystko należycie łyżką i wciąż mieszając, wlewać do flaszek. Flaszki zakorkować mocno i postawić do chłodnej piwnicy.

Po trzech dniach otrzyma się napój lekko kwaśny, szumiący, wyborny, smaczniejszy i sto razy zdrowszy, niż piwo.

Jeżeli komu trudno na wsi o cukier, choć to kawałek nie wielki, za 6 centów tylko, — ten niech doda garstkę siodu, używanego przy warzeniu piwa, a skutek będzie ten sam. Można też nie zlewać tego napoju do butelek, jeżeli ich brak, jeno trzymać go w garnku, szczelnie przykrytym, ale wtedy nie będzie taki smaczny, i nie będzie się pienić, musował.

**O soleniu ogórków.** Mamy w tym roku piękny urodzaj na ogórki. Gospoście, zwłaszcza w sąsiedztwie większych miast — sadzą ich dużo, więc powiem, jak najlepiej solić je na zimę. Zebrane i starannie umyte ogórki należy układać w beczułce, konewce, lub innym jakim naczyniu jak najszczelniej. A każdą warstwę ogórków przedzielać warstwą liści wiśniowych i kopru, dodając trochę czosnku i koniecznie liści dębowych.

Gdy wszystkie ogórki ułoży się w ten sposób, trzeba je zalać zimną słoną wodą. Na konewkę wody bierze się funt soli, — na pół konewki — pół funta itd. Potem nakryć okrągłą deską, przycisnąć kamieniami i wynieść do piwnicy na chłód. Tak posolone ogórki, jeżeli słona woda z naczynia nie wycieknie, będą bardzo smaczne i nie zepsują się do wiosny.

Nawet na sprzedaż bardzo opłaci się solić ogórki, bo w zimie po miastach płacą za sztukę 2 lub 3 centy.



Na Śląsku wybornie nadawałyby się do solenia zgrabne, piękne zrobione sądki, w których gaździnki przechowują szperkę przez zimę.



## Odpowiedzi od Redakcji.

*Do Szanownych Czytelników w Ustroniu.* Więc pogoda sprzyjała wycieczce? — To bardzo szczęśliwie. W słońcu dopiero zielona kolebka domowej naszej rzeki, Wisły, staje w całej przedziwnej swej krasie. A jak to zachnie, jak przyjacielsko z Waszej strony, mili Czytelnicy i Czytelniczki, żeście pamiętali wśród wspaniałych gór o skromnej gazecie, — żeście myśleli o brzydkich czarnych literach, patrząc na świecące perły w wodospadach Białej Wisłoki. O dziękuję, dziękuję — i życzę, aby Wam zawsze tak było na sercu wesoło, jak onym weselnikom wiślańskim z pięknej Waszej karty!

*P. Wojciech Wiącek w Machowie.* Ogromnie żałuję, że nie była we Lwowie podczas zjazdu Kółek rolniczych. W tylu sprawach chciałam się wspólnie poradzić, o tyle rzeczy zapytać, a teraz, kto wie, kiedy znowu sposobność się nadarzy! — „Głowski ziemi Sandomierskiej“ życzę jak najlepszego powodzenia, ale mi żal — i bardzo, że teraz nie będzie Pan mógł pisywać do „Zorzy“ i „Przyjaciela Ludu“. A prawda, ile to czasu pochłania gazetka?

*P. Teresa Szeliga, Anna Hoła i Antonina Szmid w Kuźnicach.* Nie, miłe moje, nie przyjadę do Zakopanego. Nie mogę. Ale Was przez to nie zapomnę ani w tym roku, ani nigdy, a za pamięć drogą, dziękuję sto i tysiąc razy. A teraz proszę, abyście nie pisywały tak często, bo mi szkoda Waszego czasu. Po robocie nocnej w papierni pójďte raczej wypocząć nad Białym Dunajcem, pod śpiącą górką — pamiętacie? — abyście wciąż były różowe, jako zakopiańskie maliny. Czy dobrze?

*P. Stanisław Król w Roztokach, w Iminowskim.* Na Wasze ręce, Panie, jako najlepiej, bo osobiście znanego, składam pozdrowienia dla innych Czytelników, a najbardziej dla p. Smier-

ciakowej i pp. Ciągłków. Tym ostatnim za wielką życzliwość ślę podzięk. Niech wszystkim dzieje się jak najlepiej, a Wam, niech góry wrócą wnet młode zdrowie, które pobyt w duszonym Lwowie nieco nadwęgżył.

*P. J. W. w U. Żgoda,* całą duszą zgoda na wszystko, co mówicie, Panie! Jednemu tylko zaprzeczyć muszę, bo rozniecenie, choćby maluczkiej iskierki tam, gdzie ciemno, to rozkosz niezrównana, przedziwna! Ale to trudna, strasznie trudna rzecz. O onych odwiedzinach też święta prawda. A trzeba wiedzieć, że przemileżała, powtarzając, parę fałszywych zgrzytów.

*Pp. Orawcowie w Poroninie.* Pozieram często, a zawsze z żywą przyjemnością na szwanego górala, któregoście mi przysłali, drodzy Państwo. Taką ma dzielną minę — i ciupagę ostrą i białą cuhę. A najbardziej, że przypomina mi przyjaciół z gór. Szkoda, że go nie znam osobiście! Kto wie, czy to on „Zorzę“ czytuje? Radabym zajrzeć do Poronina, ale cóż, — daleko! Więc choć zdaleka pozdrawiam serdecznie Was oboje i małą Marynkę — urosła pewnie — i jej braciszka, który z pewnością umie już gazdować w sklepiku, jako i stary kupiec. Pozdrawiam też i Galicową Grape, która mi dawała zeszłej jesieni takie bujne, takie piękne dziewięciorniki. Wiecie: przewinęłam je długą, leśną, zawsze zieloną nietotą i dałam na przeźroczystry klosz lampy wiszącej. Slicznie wyglądają srebrne gwiazdy i delikatna, zwisająca siatka z zieleni, gdy lampa pali się wieczorem. Wszystkim to się podoba, a ja wtedy myślę o dalekich górach i bliskich przyjaciółkach-góralach — i o Poroninie. — Przy tej sposobności powiem, że roślina, którą w Tatrach zowią dziewięciornikiem, na Śląsku nazywa się rzepik, a w książkach: oset górski bezłodyżny, po łacinie zaś: karlina akaulis. Nietotę znowu na Śląsku zowią porwózkami, — w książkach: widlakami, po łacinie: likopodium. — Słyszałam też, że dawniej nietotę używano do czarów. Czy to prawda?

*P. E. Hałaciński w Krakowie.* Za list do „Zorzy“ pięknie dziękuję. Umieszczę, skoro tylko miejsce się znajdzie. Szczyście Boże w zaonych usiłowaniach.



Treść numeru: Piosenka wieśniacza. — Kłopoty młodego lekarza. — O Janosiku zbójniku. — Z ziemi śląskiej. — Czyny nauczające. — Listy do „Zorzy“. — Rozmaitości. — Rady gospodarskie. — Odpowiedzi Redakcji.